Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 28. Poznań, dnia 13. Lipca. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Les Mississipiens,

par George Sand.

(Dokończenie.)

Charaktery nareszcie trzech niewiast, markizy, Julii i Ludwiki dokładnie odcienowane. Pierwsza, wychowanka dworu Ludwika XIV., mile jeszcze sobie przypomina czasy używanych rozkoszy, i nie od tego, aby i małżeńska moralność córki nie była taka. Julia nie jest skażonego, ale obojętnego serca; żadne uczucie nie zajęło się w niém głęboko, wznijdzie i gaśnie. Trzeba zemsty na męża, aby się w niéj obudziła dawna miłość do Leonsa, trzeba strasznych cierpień córki, aby się do niéj macierzyste obudziło przywiązanie; trzeba całéj wielkości cnoty dawnego kochanka, aby pogardziła mężem oszustem. Ludwika nareszcie, niewinne dziecko, nie zna intryg świata i rodzicielskich, ni ocenić potrafi silnych uczuć własnego serca. W wieku, w którym się serce rade wylewa, szukała przedmiotu kochania, kochała matkę, a nie wiedząc o tém, kochała i Leonsa. Wyborna jest scena pomiędzy matką i córką w IIgim akcie.

Julia poznała Leonsa w Freemanie, tając się jednak z tém odkryciem; poznała i to, że owa dawna młodziencza do niéj namiętność przeminęła, ale miała go w podejrzeniu, że te uczucia zlał z matki na córkę, i postanowiła tu dociec prawdy. Wybierano się właśnie na bal do Duka, mąż i Freeman już byli pojechali, pojazd drugi tylko czekał na damy.

Julia. Momencik tylko, moja córko, mam ci coś do powiedzenia.

Ludwika. Słucham, mamo!

Julia. Mów zemną otwarcie, moje dziecie, otwórz mi tajnie serca twego, i wyspowiadaj się jak przed najlepszą przyjaciołką twoją.

Ludwika. Z całéj duszy, droga mamo.

Julia. Ty znasz Grzegorza Freeman?

Ludwika. Tak.... trochę.... mamo.

Julia. Powiedz prawdę, Ludwisiu, matka w tém tylko twego szczęścia pragnie. On prosił o twoją rękę *(Ludwika zadrżała)*, i ja przyrzekłam mu ją, gdy się przekonam, iż przywiązanie jego do ciebie jest szczere.

Ludwika (*z uniesieniem*). Ah! mamo, jeźli ci to powiedział, to powiedział szczerą prawdę, przekonana jestem.

Julia. Ale zkądże wiesz o tém? Czy cię o tém zapewniał?

Ludwika. Nigdy, moja mamo.

Julia. Ludwisiu, ty mi prawdy nie powiadasz; ty mnie więc nie kochasz?

Ludwika. Ah! droga mamo, kochaj mnie tylko, bo ja cię z całéj duszy kochać pragnę.

Julia *(pieszcząc się z nią)*. Wszakże, moja Ludwisiu, mówił ci o miłości?

Ludwika. Nie, mamo, przysięgam ci, że mi o tém i słowa nie wspomniał.

Julia. No, to przynajmniéj wspomniał ci o zaślubieniu.

Ludwika. Ani tego. Mawiał mi i owszem, że ma wstręt do małżeństwa, bo nie zna związków bardziéj skażonych przez ambicyą i chciwość.

Julia *(do siebie)*. To się mnie tyczyło. (*Głośno.*) A kiedy cię uprowadził, gdzież cię ukrył?

Ludwika. Nie, mamo, on mnie nie uprowadził; bo ja się utopić chciałam.

Julia. Jakto? z miłości dla niego?

Ludwika. Nie, mamo.... Jam go co dopiero była poznała! Ale wystawiałam sobie!.... ah, przebacz mi, uznaję błąd mój; boś ty tak dobra, a ja rozumiałam, że mnie nie kochasz.

Julia. A on, czy cię zapewniał, że cię kocha?

Ludwika. Ah! mamo, gdybyś mi nie ty była powiedziała, iż cię prosił o moją rękę, nie byłabym temu nigdy wierzyła, bo on się zawsze ze mną tylko jak z dzieckiem obchodził. W klasztorze uchodził za wuja mego, i raz tylko na tydzień widywałam go

u kratek mównicy. Późniéj bywał częściéj u mnie i rozmawiał dłużéj, ale zawsze w przytomności panny starszéj. Mowa jego była łagodna, ale surowa, i nie wiem dziś jeszcze, czyli mnie kochał, czy się tylko miłował nademną. Jam go się nie raz bała.

Julia. Więc, kiedy się go boisz, to go nie kochasz?

Ludwika. Ah! mamo, kocham go więcéj, niźli go się boję!

Julia. I poszłabyś za niego?

Ludwika. Gdyby to było z wolą twoją, mamo!

Julia. Pisywał też kiedy do ciebie?

Ludwika. Pisywał, mamo. Oto mam tu jeszcze list, którym wczoraj odebrała, bo się nie spodziewał widzieć mnie dzisiaj. Mamże ci go pokazać?

Julia. Samo się rozumie.

Ludwika. Oto go masz, mamo.

Julia (*przebiegając list.*) Córką cię swoją nazywa? wszędzie ci *ty* mówi. Tak tylko może pisać zakochany, albo szalony.

Ludwika. Przez Bóg żywy! mamo, drzę cała. Coby tam takiego być miało? Miałażbym ja listu tego nie rozumieć?

Julia. List bardzo czuły, to widoczna; a ja ci pokażę list podobny, tą samą ręką, także w materyi miłości pisany, tylko czuléj jeszcze i do innéj osoby.

Ludwika (*bledn*ą*c*). Przebóg! więc omyliłam się, on mnie nie kocha!

Julia. A jednak chce cię pojąć za żonę! Jakże to wytłómaczyć?.... Oto jest ten list.... czytaj!

Ludwika (*drżącą ręką otwiera pismo i czyta*). „Obojętność twoja o śmierć mnie przyprawi.... Ty mnie nie kochasz. Ty rozumiesz, że kocham inną....“ (*nawał uczucia głos jéj przytłumia*).

Julia (*bierze list i czyta daléj*). „Ale żadna inna nie zajęła serca mego, dla ciebie jednéj pragnę tylko żyć i umierać....“

Ludwika (*pada na krzesło*). Dość!.... mamo, dość tego!....

Julia (*do siebie składając list do kieszeni*). Ha! Leonsie biedny, kiedyś w całéj czystości uczuć młodzieńczych list ten do mnie pisał, nie myślałeś pewnie, że w 16 lat późniéj posłuży mi pomścić się niewierności twojéj... Daléj, cios już wymierzony! (*do Ludwiki.*) No, Ludwisiu, także to mało miałabyś cenić godność własną, iżbyś płakała człowieka, który cię zdradza? Daléj, przyjdź do siebie, zapomnij przeniewiercy, jedźmy na bal!

Ludwika. Na bal? tam, gdzie on? nigdy! mamo, umarłabym ze wstydu!... Odjeżdżajmy, mamo, odjeżdżajmy!

Julia. Dokąd?

Ludwika. Do klasztoru, do klasztoru na zawsze!

Julia. Aby cię tam odwiedzał, i nanowo usidlił?

Ludwika. Do innego klasztoru, gdzieby mnie ani znaleść, ani zbliżyć się do mnie nie mógł.

Julia. Toby było najlepiéj, bylebyś tylko dość miała odwagi.

Ludwika. Będę ją miała, mamo, zaręczam ci. Mój welon i suknia zakonna! Wróć mi to wszystko, mamo, abym ztąd poszła jak najprędzéj!

Julia. Przyniosę ci strój twój zakonny; pojazd czeka, możem jechać do Chelles.

Ludwika. Gdzie ci się tylko podoba, mamo, byle jak najdaléj od niego.

* * *

Podaliśmy w rozciąglejszéj osnowie treść dramatu pani Dudevant, aby czytelnikom naszym dać probkę nowego talentu autorki, co mając już ugruntowaną sławę w literaturze romantycznéj, śmiałą ręką sięgła po świeże laury, na scenie wśród oklasków zakwitujące. Pierwsze jéj wystąpienie nie powiodło się atoli. *Cosima* wystawiona na teatrze francuzkim była wygwizdaną. Nie zraziło to autorki silnéj woli, choć ją wyraźnie ubodło W przedmowie do owéj sztuki do druku podanéj dostrzedz i obrażoną dumę i dotkniętą miłość własną. „Publiczność krytykująca, powiada, mogła potępić dzieło autora, jego wina, że się podobać nie umiał; ale nie miała prawa stanowić o formie, któréj użył, bo artysty nie można ograniczać, ani mu przepisywać, w jaki sposób ma pojmować i wystawiać życie świata. Jak piosnka obok wielkiego poematu, tak dramat jego malujący namiętności ludzkie na małą skalę, miał stać obok arcydzieł sztuki dramatycznéj. Autor *Indyany*, przekonany u siebie, że zdejmuje prawdziwe obrazy życia domowego, kreślić je będzie i nadal, bez względu na to, w jakiéj to będzie formie i przed jaką publicznością. Przy czystéj woli i myśli pewnéj swego, nie pyta o sławę pisarza. Być wyśmianym nie jest to rzeczą takiéj wagi, jak się zdaje. Kto ma w sercu dobre i szlachetne przekonanie, nie uczuje w niém gwałtownego bicia, gdy mu się poraz pierwszy przyjdzie spotkać z publicznością i kurtyna się podniesie.“ — Dodaje jednak: „dla mnie wszakże i to było pociechą, że znaleźli się między słuchaczami ludzie prawi i szlachetni, którzy potrafili ocenić dzieło moje i dali mu poklaski.“

Nam się atoli widzi, jak się widziało publiczności paryzkiéj, że w Kozymie z bardzo płaskiéj i prozaicznéj strony pochwycony obraz życia domowego. Wszakże o to się wszystko obraca, że Kozyma będąc żoną uczciwego człowieka, kochać pragnie Ordoniusza miłością siostry, a on ją kochać chce prawem męża. Cała ta walka do znudzenia przeprowadzona aż przez sześć odsłon, licząc w to prolog. A jakkolwiek żadna scena, jakby to rzecz sama nastręczała, w dwójznacznéj nie pokazuje się fizyognomii, i w wyrazach i zwrotach, prócz może owych częstych *„ne me touchez pas"* wszelka zachowana przystojność, przedmiot sam zawsze ma coś nieprzyzwoitego, i tego zarzutu pani Dudevant żadnémi sofismami nie odwróci. W tym względzie stoi wyżéj dramat *les Mississipiens.* Wkradły się i tu mimochodem ślizkie słówka, bo zda się, że dzisiejszemu językowi Francuzów, stępionemu na nerwach, koniecznie trzeba owéj niejako *assa-foetidy* dla zaostrzenia smaku; ale całość więcéj z moralnéj trzymana strony.

W obu tych dramatach tłem akcyi są obowiązki i stósunki małżeńskie. Wiadomo, kto czytał *lettres d'un voyageur"*, jak opaczne pani Dudevant miała o małżeństwie rozumienie. Żaden z pisarzy nie wpatrzył się tyle, co ona, w wielorakie zgorszenia i chorobliwości tego stanu, żaden nie wykrył i nie obnażył tak tego jadu, tego raka, co toczy śluby nowoczesne. Z jéj pism rozlicznych zebrałbyś kompletną patologią małżeństw zepsutych. Téj dążności zironizowania i zohydzenia najświętszego i najmoralniejszego religijnego i towarzyskiego instytutu, nie ma w obu jéj sztukach teatralnych. I owszem w Kozymie dochowuje żona wierności małżeńskiéj, wszelkim natarczywościom lubieżnego Ordoniusza opiera się i śmiercią mści się na sobie zdrożnéj miłości, która męża na niebezpieczeństwo życia wystawiła, w Missysypijczykach, Julia, mimo złego przykładu własnéj matki, staje się przykładną i uległą żonę. W autorce *Lelii*, w lat siedm, ważna zaiste zmiana wyobrażeń! —

Literatura krajowa.

Poezya.

Entuzyasta.

Gdzieś jest? o zjaw się! tęskny duch cię wola!
Tylko w snach ludzisz niebieskim urokiem,
Tylko cię widzę przed duszy méj okiem,
Jasnego bóstwem Anioła!

Zjaw się — kochanko ducha! wytężam źrenicę,
Widzę ją! — o tam! w dali świecą białe szaty!
Uśmiech igra na licach, skroń ubrana w kwiaty,
Spłyń ku mnie — niech cię w moje objęcia pochwycę!

Znikasz ulotna maro! łzą obraz zapływa,
Obraz rozwiewny — dziwny — tajemniczy!
Piękny jak tęcza — czysty i dziewiczy!
Tonie w błękicie i mglą się okrywa!

O choć mgła tam zaległa — w duszy jasno świecą
Barwami zachwycenia malowane lica,
Ślicznym rumieńcem płonie mój Anioł-dziewica!
Bo kwiaty natchnień boską skroń jéj kwiecą!

Cudny widoku! — gdy ze snu się budzę,
Błyszczysz przedemną — widzę cię dzień cały,
Znikasz i znów się rozświecasz wspaniały!
A ja tęsknię za tobą — pieszczę się i łudzę.

I tak przegonię tę życia pustynię,
Ulotne widmo chwytając śród drogi,
Oby mi jeszcze świecił obraz błogi!
W ciemnéj grobowéj dziedzinie!

F. Ż.

Żal.

O biednyś wieszczu! twój zapał na lody
Jak promień słońca pada — tworzy wody!
Zbrudzone błotem ziemi, — twe natchnienia
W sercach spółbraci nie znajdą płomienia,
Coby się z niemi zespolił — i zbudził
Do czynów wielkich — daremnieś się trudził!

Ludzie to płazy! a tyś lotem ptaka
Chciał wzbić do góry — człowieka-robaka!
Co żyje kałem i w kale lubuje
A świeży niebios powiew wnet go struje.

O biednyś wieszczu! twój płomień samotny
Błyska i znika jako dym ulotny,
I nikt do koła nie uczuje woni!
Myśli twe wioną mimo ludzkich skroni.
W skaliste serca nie wsiąka ich rosa,
Obłokiem pieśni wracają w niebiosa!

O zapłacz pieśnią z górnéj twéj dziedziny,
Chmurną jéj szatą otulaj ruiny!
Marzenia tkanką — osnuj sławy dzieje,
I z niéj wyławiaj przyszłości nadzieje!

F. Ż.

Wyjątek z niedrukowanych pamiętników polskiego Majora D..*

Do niewoli wpadłem z wielu innymi pod Monson nad rzeką Cinką; odprowadzono nas do Tarragony, znakomitego miasta portowego w Katalonii. Kazamaty koszar artyleryi, były przeznaczone na nasze więzienie.

Siedzieliśmy tam przez dni jedenaście; dawano nam śledzie a mało wody; poczém przeprawiono nas na wyspę Majorkę. Odbywszy kwarantanę, przybyliśmy do miasta Palmy, i znowu w koszarach artyleryi nas zamknięto i strażami dobrze opasano. Do pięciuset było oficerów różnego narodu, jak to w wojsku Napoleona; najwięcéj rozumie się Francuzów, Polaków kilkunastu, Polaków żołnierzy może czterdziestu. Od Czerwca dosyć jednostajnie upływało nam życie; nie było wielkich dostatków, ale dawano jeść tyle, że też nie było i głodu; o zmianie bielizny i innych zwykłych potrzebach trudno było myśleć; żyliśmy zwyczajnie jak więźnie podczas wojny, i to w więzieniu tymczasowém, nieurządzoném należycie. Oddychaliśmy czystém i świeżém powietrzem, przypatrywaliśmy się z okien to przybijającym do portu statkom, uwijającym się w koło nich łodziom, które miały postać piskląt obskwierujących wkoło swej matki z jakiego wodnego ptastwa; to znowu pracom majtków i tragarzy, przynoszących, odnoszących i ważących towary. Niejeden z nas siedział też smutnie myśląc co daléj będzie; inny nie pytał się ani o teraźniejszość, ani o przyszłość, ale sobie śpiewał lub gwizdał; wielu zaginało ciągłe parole, setlewy; wielu było takich, co się trudnili tylko zaczepianiem z okna przechodzących Hiszpanek; dosyć, że bez zatrudnienia każdy miał jakiś przedmiot, po którym mu czas uchodził. Nie widziałem nikogo, żeby się modlił, bo wiek Napoleona był grubo materyalny, prawie ateistyczny. Płynął dzień za dniem, aż minęło lato, skończyła się jesień, szła zima i nowy rok 1810. obchodziliśmy w więzieniu, a nie zanosiło się na żadną zmianę naszego życia. Już ostatni wtorek zamykał zapusty, kiedy razem zjawił się tłum ludu w porcie, a na ląd wysiadały osoby w niezwykłych ubiorach, aż lepsze rozpatrzenie się pokazało, że to byli zakonnicy i zakonnice. Z poruszeń ludu można było rozpoznać, że owo duchowieństwo przyjmowano z wielkiém rozczuleniem i coraz bardziéj wznosiły się hałasy i krzyki. W oka mgnieniu mury w koło naszych koszar otoczył lud wijący się jak mrówki. Stał na straży oddział wojska, złożony z saméj szlachty wyspy Majorki. Oficerowie i żołnierze uspakajali mieszczan, wzywali do rozejścia się, grozili, że użyją siły, ale to wszystko były słowa tylko na wiatr puszczane bez skutku. Krzyki ludu, z których zchwyciliśmy czasem słówko, tyle nas względem tego tłumu objaśniły, iżeśmy się nareszcie dowiedzieli, że Francuzi krwią pobroczyli kościoły i klasztory miasta Girony; że to ztamtąd przypłynęły te święte niedobitki; że zamknięci w koszarach jeńcy, co dopiero śmieli rzucać z okien na to nieszczęśliwe duchowieństwo. Myśmy dobrze wiedzieli, że nikt od nas nic nie rzucił, ale nie był to czas wdawania się w tłómaczenia, którego lud rozburzony nie zwykł słuchać i dla gwaru ani dosłyszeć nie może. Widoczne już było, że tu nie o co innego, ale o nasze głowy chodzi; postanowiliśmy bronić się do upadłego, jak przystało na wojsko wsławione zwycięstwami; a po prawdzie nie było też i nic drugiego do wyboru. Znosimy tedy stoły, stołki, beczki, kociołki, flasze, noże, nogi od stołów, i co tylko mogło być sprzętu koszarnego; jedném się zagradzamy od drzwi i korytarzy, drugiém znowu bronić się mamy; ale ani pierwsze do robienia przeszkody dla wdarcia się, ani drugie do bicia przydatne. Nasi nieprzyjaciele na dole chcieli u straży wyjednać, aby drzwi odstąpiła, to znowu z siekierami różnemi, kijami, nożami darli się do niéj. Padł który mieszczanin ranny lub trupem, to wcale tłumu nie zmiejszało, a daleko go zapalczywszym czyniło. Gubernatorem Palmy był wtedy Reding, Szwajcar, ze służby hiszpańskiéj; wpadł on pomiędzy nas, króciuteńkiémi słowami niebezpieczeństwo wystawił, a zarazem dodał, że jeden tylko sposób, poboczną fortką na los szczęścia do portu uchodzić; „przyjdzie zginąć, dodał, toż lepiéj na drodze, gdzie jest jaki taki widok ocalenia, niż na drodze całkiém bez widoku. Wszyscy na raz wychodzić nie powinni, bo mały oddział łatwiéj się prześlizgnie.“ Puściło się tedy na ochotnika naprzód pięćdziesiąt oficerów, między którymi kilku Polaków. Niektórzy już się do łodzi dostali i odbili, ale tłum zajadły spostrzega pastwę i rzuca się na nią z całą wściekłością. Francuz Beauchamps, człowiek pięknego charakteru, znakomity jako żołnierz i stąd powszechnie kochany, puścił się w pław, ale poszli za nim rzeźnicy i na wodzie nietylko go zabili, ale toporami i nożami poćwiertowali. Zginęło wielu jeszcze innych. Kiedy wszelkie sposoby rozpędzenia ludu były wyczerpnięte tak ze strony władzy wojskowéj jak miejskiéj, zbliżył się arcybiskup *pontificaliter* w pośród licznego duchowieństwa w processyi uroczystéj. Zajadłość ludu wcale się nie zmniejszała; szturm i bój ze strażą był jeszcze zaciętszy. My w naszych kazamatach, nie wątpiąc, że to ostatni dzień dla nas, przecież gotowi do boju, znowu jakoś nadzieją pocieszeni, w ciągłych radach wojennych szukaliśmy pomysłów, sposobów. Tymczasem zdaje nam się, nareszcie słyszymy wyraźnie i ustępuje już wszelka wątpliwość, że mur wykuwają w końcu, gdzie koszary łączyły się z inną budowlą. Wypadają cegły, robi się otwor. My zgruchnęliśmy się z całą

rozpaczą do niego, ale widać hiszpańskich saperów, a z pomiędzy nich woła Reding: «Wychodzić, bez straty chwili wychodzić!» Jedni cisną się w otwor, a drudzy rozpoczynają dyplomacyjne wywody, że Szwajcar pewnie podejściem myśli rzeź przyspieszyć; przemaga zdrowsza rada, a nadewszystko sam instynkt opuszczenia miejsca, w którém się tak długo zamkniętém było, i w którém nakoniec tylko śmierci się oczekało, prawie wypychał każdego. Mniejszy oddział wyprowadzono przez ową nieszczęśliwą fortkę, i tego samego prawie doznał losu co pierwszy; my zaś w trzecim daleko liczniejszym oddziele spuszczaliśmy się do kazamaty przez przygotowany drugi wyłom w murze, i przez ganek podziemny znacznéj długości przeszliśmy do bramy, którą gubernator natychmiast kazał zabarykadować. Część ludu bawiła się mordowaniem drugiego oddziału; może mu umyślnie na pastwę danego, aby przynajmniéj uratować większość; część zaś druga z działami opanowała i już z bronią palną w ręku zdobyła próżne koszary. Sypał się potém tłum w jeden punkt nadmorski, nieużywany, lecz wcale do ambarkowania przydatny, ale i tam tylko pustki zastał, i już prawie wszyscy byliśmy w łodziach, kiedy nas wykryto. Na tamie portowéj, u której zarzucały kotwicę większe statki, jeszcze stał arcybiskup z duchowieństwem; z drugiego boku bryk angielski dawał ognia kartaczami; ale ani processya, ani kartacze nie skutkowały. Łodkami albo też prosto wpław ścigano nas zewsząd; morze czerwieniło się od głów, bo ludzie prości noszą tam czerwone czapki podobne do używanéj przez Niemców szlafmycy. Kilku Francuzów w łodzi, mających takie czapki, narobili tyle strachu trzem wpław uchodzącym swoim rodakom, choć na nich wołali, że są ich koledzy i że ich zabiorą, iż owi nieboracy wzięli kierunek ku statkowi angielskiemu, a że stał za daleko, dwaj opadli na siłach i życie stracili. Nie mało toporami, nożami i kijami ubito; w ogóle przez te wszystkie napady ze sto jeńców legło a pewnie koło czterystu uszło. Ja między pomoczonymi i rannymi z bijącém sercem dostałem się na statek kupiecki hiszpański, który zaraz ściągnął kotwicę. Odetchnęliśmy z trwogi na przestrzeni morskiéj; przesuwały mi się myśli o wojnie, o wzburzonym ludzie, o poświęceniu naszych; byłem pewien, iż wypełniam wielki obowiązek względem ludzkości i ojczyzny, że morduję naród hiszpański tak zacięty, a zapomniałem, że my najezdnicy byliśmy téj zaciętości przyczyną. Po krótkiéj podróży przybyliśmy do wyspy Cabrera. Jéj rozległość wynosi kilka mil kwadratowych; jest bardzo skalista i nieurodzajna, a za główniejszych mieszkańców ma dzikie kozy, skąd wzięła nazwisko, bo Cabra znaczy koza. Jako pusta, a stąd bez wszelkich kommunikacyj z lądem, wybornie przystawała na siedzibę jeńców wojennych, i już ich tam Hiszpanie różnemi czasami do siedmiu tysięcy wysadzili. Dwa statki kanonierskie na kotwicy, które kiedy niekiedy zwiedzały kilka punktów do lądowania przydatnych, były już bardzo silną strażą. Jeńcy założyli sobie obóz, co czwarty dzień odbierali żywność, którą statek dowoził. Nad morzem stał jeden tylko zamek, Hennibalowym zwany z kaplicą, a jego mieszkańcem był ksiądz kapelan. W ogóle czterdziestu oficerów, między którymi było nas dziesięciu Polaków, zakwaterowaliśmy się do zamku. Co cztery dni z przywiezionych żywności dostawaliśmy ryż, kawę, wino, mięso. Żołnierz miał dziennie $1\frac{1}{2}$ funta chleba, $\frac{1}{4}$ funta suchego sztokfiszu, 15 ziarn bobu i po pół śledzia dwa razy w tydzień. Na zamku była starożytna cysterna z wodą wyśmienitą. Kiedy spadł deszcz choć najmniejszy, woda w niéj napełniała się robactwem, i przez dwa tygodnie używaną być nie mogła. Z tego to powodu obóz ów siedmiotysięczny stał daléj od morza, a w pobliżu źródła głównego, lecz to nie starczyło. Zachowywano kolej, że jednego dnia prawe, a drugiego lewe skrzydło rozpoczynało czerpanie, ale nim środek przystąpił, już były tylko męty dobrze błotem zgęszczone. Więc i owa biedna żywność jeszcze i przez to traciła na wartości, że nie było wody do gotowania. Statek też nie zawsze w swoim dniu się pokazywał; pozazdroszczono nam jeszcze i tego biednego życia. Było raz w Palmie 4000 bochenków chleba już dla nas naładowanego, kiedy władzę wojskową zawiadomił arcybiskup, że ma uczynione sobie doniesienie od spowiednika jednéj piekarki, iż jéj mąż chleb zatruł. Przedsięwzięte doświadczenia pokazały, że rzecz w istocie tak się miała. Piekarza pojmano, osądzono i natychmiast zagardlono. Lud poczytał go za męczennika sprawy narodowéj; powstały zaburzenia, a tych było skutkiem, że przez siedm dni nasz statek z żywnością nie nadszedł. Już i dawniéj głód nam czasem dokuczał; zjadaliśmy osły od noszenia wody, a sami ich służbę pełnili; psy, co z dawniejszymi jeńcami były przyszły, wyginęły; głównem pożywieniem stały się ślimaki, czy lądowe czy morskie, oraz jaszczurki, którym łby i ogony ucinano. Te robaki i te płazy gotowaliśmy na zupy do żółwich podobne; niektórych żywiła roślina Patatos; myśmy ją uważali za dzikie ziemniaki. Patatos ciepłe mają być zdrowe, lecz

zimne poczytują Hiszpanie prawie za truciznę. Raz podczas mniejszego głodu przez jeden tydzień straciliśmy 1500 ludzi. Dopiero od chwili owéj awantury piekarskiéj głód dał nam się tęgo we znaki. Ksiądz kapelan miał gdzieś ukryte składy lepszych pokarmów; my zamkowi oficerowie bardzośmy mu ich zazdrościli, a cały obóz zazdrościł nam tłustych wyśmienitych szczurów, które się zrazu po zamku roiły. Nieszczęśliwy obóz doszedł do tego stopnia nędzy, że nieraz wybladły żołnierz z policzkami wklęsłémi, ze wzrokiem obłąkanego człowieka, wykrajał kawał mięsa z trupa i upiekł lub ugotował sobie. Już też i zamkowe szczury częścią były pojedzone, a częścią tak się pokryły i tak zostróżniały, że mimo najlepszych sposobów żaden się pojmać nie dał. Po obozie i u nas po zamku wszczęły się rozprawy i pytania, jaka będzie ostateczność tego głodu. Zgadzano się powszechnie, iż wkrótce przyjdzie na ten koniec, że dwaj będą się rzucali na trzeciego, żeby go zarznąć na mięso. Przyszło więc do obrady, jakby temu zapobiedz; widoczne jednak było, iż nie masz sposobu zapobieżenia. Wypadła zatém uchwała, że gdy rzezi zapobiedz niepodobna, najlepiéj będzie tę rzecz uorganizować, to jest zabijać na mięso, ale z wielkim porządkiem i oszczędnością, aby nikt nad konieczną potrzebę nie zginął. Sprawiedliwość i koleżeństwo wojskowe nie pozwalały, aby jedni drugich wyznaczali, a więc najlepiéj puścić rzecz na losy i co dziesiąty miał być na rzeź przeznaczony. Żadne wstawiania się, robienia za sobą stronnictwa, ujmowania się przyjacielskie, nie miały mieć miejsca, aby nieucierpiały sprawiedliwość i braterstwo w nieszczęściu; aby jedynie podług powołania wojskowego, podług zasad miłości ojczyzny, jedni swoją śmiercią ratowali drugich życie. Zaczęło się tedy i w obozie i w zamku ciągnienie owéj okropnéj loteryi; ja wyciągnąłem los na mięso. Stanęły mi łzy w oczach; liczyłem dopiero lat siedmnaście, a to jest wiek, w którym się nie chce umierać i słusznie. Wiedziałem jednak, że na zamku zacznie się sprawa z księdzem; po pierwsze jako z Hiszpanem, po drugie, że nie należał do losowania, po trzecie, że sam zjadał zapasy skryte; nakoniec, że będąc opasłym i wyrosłym, ze trzy razy tyle porcyj obiecywał, ile ich ze mnie nakrajać było można. Podług loiki i prawa ludzi ogłodzonych, były to wielkie powody. Oprócz mnie, z polskich oficerów mieli być zjedzeni Łaszewski, Grabiński, Stawiarski. Z wieży naszego zamku zawsze ktoś upatrywał, czy okręt nie idzie; od czasu wyciągniętego losu, ja, bez pytania się o kolei, patrzałem ciągle na morze. Już tedy widziałem statek, już i żagle, a potém się pokazało, że był albo przelatujący jaki ptak, albo była plama obłoczna u dołu widokręgu, albo i nic nie było. Ale znowu niby mi się statek mignął, niby wzrastał przez przybliżenie, niby ginął; aż nareszcie: «Statek! statek!» krzyknąłem. Zrzuciłem natychmiast z siebie koszulę, to jest kawałek podartego płótna, i zatknąłem jako chorągiew zbawienia na wieży zamku. Rozległy się ogłosy radości, przeplecone łkaniem nędzy i rozpaczy; mnóstwo żołnierzy rzuciło się w morze, aby tylko jak najprędzéj dopaść żywności. Siedmdziesiąt miało ich wtedy utonąć. Głód nam się wynagrodził obfitością; żywność przywieziono na siedm tysięcy, a z tych już tylko dwa pozostały przy życiu. Odtąd jako tako zaopatrywani w pokarmy, zaczęliśmy się nudzić bez pracy. — Powietrze na wyspie Cabrera jest przecudne, lekko się niém oddycha; deszcze i pluski rzadkie i przemijające, stąd niebo zawsze pogodne, błękitne, gdzie niegdzie tylko bladym obłokiem naznaczone, słońce bystro pali, a każdéj nocy świecą gwiazdy. Robiliśmy po wyspie rozmaite exkursye; myśliwi wprawdzie bez strzelby i psów, ale jednak ubiegali się po skałach, i na wniki, choć nie gemzy, to przynajmniéj białe króliki łowili; umiejący pływać tych zwierzątek nieraz po dwadzieścia dostawali z wysepki Kroliczą (Conegos) zwanéj, a dwie morskie mile odległéj. Kupowali je nasi oficerowie z wojska morskiego i korpusu jenerała Dupont, którzy przy wzięciu do niewoli zachowali całą swą własność i mieli nietylko pieniądze, ale czystą bieliznę i piękne suknie. Byli to magnaci naszego społeczeństwa; stanowili wysoką arystokracyą w stósunku do żołnierzy obozu, z których niektórzy byli golcy w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu, bo nie posiadali większéj garderoby, jak pierwsi rodzice przy wypędzeniu z raju.

(Dokończenie nastąpi.)

Rzut oka w domowe życie kilku z dawnych pisarzów naszych.

(Dokończenie.)

Sławny w Akademii krakowskiéj Brosciusz (Jan Brocki) stawia osobliwszy przykład bezinteresowności, rzadkiéj w uczonym. Pisząc do Biskupa Leszczyńskiego, zamiast sam się zalecać, wyznaje, że ma aż nadto i chleba i łask, a od siebie prosi za X. Odymalskim, który już wybierał się poetycznie z nędzy umierać. Szkoda, że X. Odymalski nie bardzo wart był zalecenia i nie uiścił nadziei Brosciusza.

Ku schyłkowi i na przecięciu dwóch wieków XVII. i XVIII. żyjący Chrościński był sekretarzem królewicza Jakóba, tak jak wielu innych jemu podobnych w tym czasie, całkiem się nie oddając nauce, i już ją tylko podrzędną zabawą (jeśli byli panami, jak n. p. Rafał Leszczyński Wda Bełzki w XVII. w.), lub podrzędnym wyniesienia się środkiem i rodzajem trybularza uważając, wygodnym do kadzenia (jeśli byli mniejsi i potrzebowali się wynieść). Literatura traciła swoją godność, rozdrabiała się powoli, i zmieniała na rzemiosło mniéj więcéj popłatne.

Życie pisarzy już się tak urozmaica, że go pochwycić nie podobna, rozproszeni po różnych stanach, nie oddawali się po większéj części tylko niezupełnie swemu powołaniu. Piśmiennictwo coraz a coraz bardziéj staje się okolicznościowém, ginie pod ciężarem tytułów, pod wyrafinowanémi bezsensami niby dowcipnémi, pod czczą gadaniną, bez myśli, uczucia i farby.

Gdy się odradza za Stanisława Augusta, nie literatura, lecz język tylko, poeci jego czasu i najsławniejsi pisarze, skupiają się pod skrzydła dworu, jak do ogniska, które ich żywi, ogrzewa, utrzymuje. Z dawnych nałogów XVII. wieku zostaje im niepomierny popęd panegiryczny, i zamiłowanie w robotkach, okolicznościowych. Pochlebstwo tracąc niezgrabność XVII. w. pod uperfumowanémi kształty francuzkiemi, zalega literaturę. Satyry nawet wymierzone z jednéj strony na błędy XVII. w., będące skutkiem moralnéj reakcyi (oddziaływania) — z drugiéj strony często bywają pochwałami tylko. Obyczaje poetów jak ich dzieła stają się układne, naśladują N. Pana. N. Pan lubił kobiety — wszyscy je chwalą aż do X. Biskupa Smoleńskiego i X. Biskupa Warmińskiego, Pan Trębecki sławny pojedynkowicz, P. Węgierski sławny rozpustnik, Karpiński nawet, ten prosty wiejski śpiewak, najmniéj tchem wieku zepsuty i oziębiony, pochlebia ile umie. Piszą wszyscy grube i plugawe wiersze, którémi zmysły ztępione starają się podrażnić. Tych tajemniczych wyrobów dworskich poetów kilkaby tomów nazbierał amator, lecz czyż warte zbierania te priapeje Stanisławowskiéj plejady?

Życie tych wszystkich poetów i pisarzy jest podobne pańskiemu. Obiad smaczny, stare wino, wolna rozmowa, czasem piękne oczki, słowem materyalne nieślachetne nasycenie — zdaje się być ich celem jedynym. Ci pisarze ostrych satyr i słodkich wierszy do kioska, ci księża autorowie powieści plugawych, wszyscy żyją niestósownie ze swoim stanem, powołaniem, godnością pisarską. Życie ich i siły rozpraszają się w pochlebstwach, w próżném bełkotaniu dworskiém, w ciągłém chyleniu się przed nadzieją złota i honorów. Karpiński płacze, że go król niedość zapłacił, że go wiek nie umiał ocenić, Trębecki bierze za Sofijowkę tysiąc dukatów, przedając swój zapał i natchnienie za garść złota. Plugawe jego zaloty, przewrotność charakteru, nieukontentowanie samym sobą — charakteryzują czas w którym żył. Jest to przy polorze wielkim wielka demoralizacya.

Dwór Stanisława Augusta jest ogniskiem całéj czeredy pasożytów utalentowanych, obiad czwartkowy jéj uroczystością, wyrazem literatury oda pochwalna, ucinek satyryczny, wiersz swawolny.

Jeden Karpiński swojém życiem odznacza się w téj epoce — nie rad, że mu inni jego część słońca zasłaniają, wynosi się na puszczę, żyć z chłopkami, korczuje pole, przejmuje życie wieśniacze i powoli otrząsa się z zarazy pochlebstw. On jeden najmniéj ze wszystkich zepsuty, w nim jeszcze stare uczucia religijne, z błogosławieństwem ojca przelane odzywają się — i on też jeden najgorzéj nagrodzony, najboleśniéj z słabéj strony ugodzony, opuszcza wrzawę dworu przed wszystkiemi, aby śpiew swój dokończyć przy wtórze słowika Białowieży, nad smętarzem w Kraśniku, i umrzeć nie splamiwszy swego serca i ręki. Jakkolwiek nie mamy go ani za wielkiego, ani za excentrycznego w swym wieku poetę, jakkolwiek mdły jest i słaby — zasługuje wszakże na pierwszeństwo, bo jeden nucił z serca i do serca, gdy inni na zimno tylko wierszowali.

J. J. Kraszewski.

1839.

Przegląd pism.

Powieści wielkopolskie, *przez R. W. Berwińskiego.* **Tom I. W Wrocławiu. 1840.**

(Ciąg dalszy.)

Treść powieści jest następująca:

Na zamku goplańskim mieszkał książe Sokół; umiał on się przypodobać jedynéj córze wojewódzkiéj, możnéj pani dusz tysiąca i więcéj, bo był dorodny, słuszny, a chłop, co się w korzec nie mierzy; zalecał się przed innymi szampierzami (współzalotnikami) butą wymoszczoną na otwartém czole i układnością słów wczesnych. Umiał on niemi i Wojewodzinkę i Ojce jéj pozyskać, i wnet małżonkę przywiódł do dziedzicznego grodu na Gople.

Sokół ochotny i grzeczny, biesiady gęste i gwarne, nie brak zasobów, nie brak i goścja; sporo czasu minęło i tak miało być zawdy.

Ale nastąpiła nagła zmiana w Sokole — całe dnie w samotności przepędza, a zamiast dumy dawnéj siadła mu na czole posępność i troska, a spytać go o księżną, to niby nie słucha — zamyka się w swojéj komnacie. O wieczorze dopiero rzuca zamek i nad brzegami Gopla się błąka.

Aliści nowe zajście w zamku. Księżna porodziła syna. W nocy po dniu tym księżna zasłabła, dziecię zakwiliło, żałośnie uchyliły się odrzwie i stanęła na progu wiedźma (widmo), długie szaty miała na sobie, bladość na licu, a w ręku praszcze (rózgi) krwawe.

Sokół się wezdrgnął — okrył twarz dłońmi obiema a potém wybiegł spieszno na podsień, ku jezioru krom zawieruchy i zimna się zadał, i zaprzepadł w łożach.

Nad rankiem księżna skonała. Książe więcéj nie wrócił. Różna o tém pogadanka była między ludem.

Pozostałe dziecko w pieczy ma stary Kiryło. Dzieciuch pod jego okiem rośnie jak na zaczyniu; ledwie wyrosł, rzucił zamek ojcowski i rzucił się wśród wrzawy bitew. Wkrótce imie jego było słynne u swoich, straszne i gromkie u obcych.

Ustała jednak wojna. Młody Sokół samotrzeć ze starym sługą i z pacholęciem wrócił na zamek; jedyném jego zatrudnieniem teraz były łowy.

Było jednak jedno ostrowie, na którém dotąd nie postał, na które nigdy nie spojrzy. — Mówią, że od urodzenia czuł wstręt do tego miejsca, drudzy, że stary Kiryło tak mu je przestrogami i powieściami swémi obmierzył.

Młody Sokół powrócił raz z orszakiem bardziéj niż kiedykolwiek markotny; bo dziś po raz drugi łowy mu się nie powiodły — łania jedna po raz drugi przez nogę go rzuciła — nawet oszczep stracił. — Wśród mnóstwa gości i hucznéj biesiady chce zapomnieć niepowodzenia, ale nie może, bo chociaż gęsto zapija i zagaduje nie ścicha, widać, że gniewny. — Na raz wrzasnął na służbę:

kto mi oszczep przyniesie, pachołcy, kto mi mój oszczep przyniesie, a kto łanię wytropi do jutra, weźmie w darze kęs złota i me łaski książęce!

Cichość się zrobiła w świetlicy, wszyscy słuchają, a Władyboj, najpoważniejszy wiekiem, tak się odzywa: Co ci książę Sokół, co ci się hasać na wiatry! Oszczep twój, wierzaj mym słowom, łupem ci wzięty, a z łanią sprawa nieczysta; czy nie znasz przypowieści o tém? A zawołany Bojan wśród innych zwrotek i tę zanucił:

O myśliwcze, jakeś żywy,
Od łączyszcza, od cięciwy
Wstrzymaj śmiałą dłoń.
Miniesz celu w ciemnym lesie,
Wiater pocisk twój zaniesie
Na gopłańską łoń,
I staniesz się sprzymierzeńcem,
Staniesz Gopła oblubieńcem
W wiekuisty czas;
I za życia i po zgonie
Będziesz kochał Gopła łonie
W wiekuisty czas.

Ale Sokół ani pieśnią Bojana, ani powieściami o pięknéj dziewice Boguncе, o dzikiéj łani zaklętéj, nie chce od zamiaru powziętego odstąpić. Kto ze mną idzie po ręku, zawołał raz jeszcze, kto ze mną idzie, wołał, podając prawicę, że jutro łanię doścignę, jutro na moim cisaku i na mój kończerz nadzieję; kto idzie?

Nikt się nie ozwał z przytomnych, wszyscy chowają milczenie, głucho w świetlicy.

Wtém podwoje prysły na rozsiecz i wszedł mąż cały w zbroi.

»Ja z tobą idę po ręku, Sokole książe!« powiedział i podał mu prawicę.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Koncert zapowiedziany w Nrze 23cim odbył się dnia 30. p. m. Redakcya miała za czynny udział w przedsięwzięciu tém, aby dać mogła szczególowe sprawozdanie z niego. Pozostawia to innym pismom tutejszym, aczkolwiek wie, że żadne nie zna, a więc i nie może ocenić, tak jak ona poświęcenia i trudów dam szanownych, biorących udział w koncercie. Tylko myśl, iż tylu osobom boskie sprawiły chwile swym talentem, — myśl, że ten wieczor tylu set osobom na całe życie miłém, niebiańskiém wspomnieniem pozostanie, — a przedewszystkiém myśl, ilu nieszczęśliwym i nędzę cierpiącym łzy otrą, — ta tylko może być im nagrodą — nagrodą, jakiéj tylko one godne. A te łzy otarte, jedna z tysiąca ich! czyliż nie stanowi dla nich na zawsze piękniejszych ozdob nad wszystkie perły, które kiedykolwiek kobiet zdobiły czoło? *)

Pan Januszkiewicz podaje do druku książkę do nabożeństwa, napisaną przez Stanisława Leszczyńskiego, króla Polsk. i Lotar., znalezioną w bibliotece Nancy w oryginalnym rękopismie. Modlitwy znajdujące się w tym zbiorze są piękne, styl prawdziwie wzniosły, polszczyzna czysta, wolna od wszelkich makaronizmów. Tytuł tego dzieła będzie: »Wielki tydzień«, gdyż nabożeństwo do téj epoki się odnosi.

P. Kajetan Ostrowski trudni się zebraniem wyboru pieśni polskich i przetłómaczeniem ich na język francuzki. Muzykę dorabia Edmund Laris. — Wybór poezyj Mickiewicza tłómaczy na język francuzki Burgaud des Mauts. Wyjdą trzy tomiki: 1sza zawiera część III. Dziadów, 2ga Konrada Wallenroda, 3cia różne wiersze.

P. Żupański wydaje wizerunek Stefana Czarnieckiego, ryty na kamieniu, z godłem: »Ani z roli, ani z soli, ale z tego, co mnie boli.« Wyjdzie w przeciągu 4 tygodni. Cena subskrypcyjna wizerunku tego wynosi 3 zł. pol. na papierze białym, 4 zł. p. na chińskim. Po wyjściu cena exempl. podwyższa się.

Pisma Lesefrüchte, wychodzącego od 1. b. m. w Poznaniu, wyszły już 3 numera. Znajdujemy w niém, oprócz poezyj redaktora (Rud. Lubarsch), piękny artykuł: die Slaven nach ihrer historischen und literarischen Bedeutung, pisany przez jednego z naszych współpracowników, pana Dr. Libelt. Inne artykuły mają za cel obznajmianie niemieckiéj publiczności z literaturą naszą; znajdujemy między innémi przełożony epilog do »poety i świat«. Niepochwalamy wybór tego miejsca, gdyż właśnie z całego »poeta i świat« epilog najmniéj nosi na sobie cechy jeniuszu i oryginalności autora. Artykuł: Historischer Ueberblick der Reichstage in Polen, przełożony jest z francuzkiego i dość jest zajmującym. — Życzymy, aby pismo to dążność, jaką w pierwszych swych numerach okazuje, i nadal zachować chciało, a pewno licznych znajdzie czytelników, tém bardziéj, iż cena jest tak bardzo niska. Druk i papier nadzwyczaj piękny.

»Poeta i Świat« Kraszewskiego przełożony został na język niemiecki. Wydawcy dzieł niemieckich, chcący nabyć tłómaczenia tego, raczą się zgłosić do redakcyi Tygodn. lit., która chętnie bliższéj wiadomości udzieli.

*) Nie możemy pominąć, iż i artyści tutejsi z prawdziwie nadzwyczajną gorliwością i bezinteresownością zajmowali się przedsięwzięciem tém. — Szczególnie odznaczał się pan nauczyciel muzyki Greulich, niemniéj pan dyrektor muzyki Klingohr.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski,*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*